

Emily
Giffin

KŁAMSTWA
OD SERCA



THE LIES THAT BIND

EMILY GIFFIN

TŁUMACZENIE GRAŻYNA WOŹNIAK

Tytuł oryginału: *The Lies That Bind*

Copyright © 2020 by Emily Giffin.

All rights reserved

Copyright © for the translation by Grażyna Woźniak

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Magdalena Drab

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Simone Wave / Stocksy

Fotografia autorki:

ISBN 978-83-8135-102-7



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Książkę dedykuję Allyson Wenig Jacoutot,
mojej pierwszej nowojorskiej przyjaciółce,
z podziękowaniami za wspólnie spędzony czas
przed i po 11 września*

ROZDZIAŁ 1

Maj 2001

Gdzieś między pierwszą a drugą w nocy siedzę sama w obskurnym barze w dzielnicy East Village. W zasmarowanym graffiti lokalu panuje przyjemna atmosfera, tłum gości wydaje się równie eklektyczny, jak wybór piosenek w szafie grającej: pomieszanie rocka, metalu, punka i hip-hopu. Dido właśnie śpiewa balladę *Thank You*, którą dawniej uwielbiałam, ale później puszczałam ją tak często, że całkiem mi się przejadła, i teraz jej dźwięki napelniają mnie już tylko dojmującym uczuciem pustki.

Dopijam ostatnie krople stouta, nawiązuję kontakt wzrokowy z barmanem, siwiejącym facetem w średnim wieku, uprzejmym, ale niezbyt gadatliwym.

– Jeszcze jedno? – pyta z ledwie słyszalnym irlandzkim akcentem, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi.

– Poproszę – zgadzam się wbrew zdrowemu rozsądkowi i pytam, czy mają tu płatny telefon.

Odpowiada, że owszem, mają, tylko akurat jest zepsuty. Zalewa mnie fala ulgi, lecz w tym samym momencie barman wyjmuje spod kontuaru bezprzewodowy aparat

i mówi, że mogę z niego skorzystać, jeśli nie chodzi o rozmowę międzymiastową. Wpatruję się w telefon, myśląc, że właśnie dlatego Scottie, mój najlepszy przyjaciel od pierwszej klasy szkoły podstawowej, kazał mi siedzieć w domu i nie tykać alkoholu. „Weź sobie na wstrzymanie”, radził mi z naszego rodzinnego miasteczka Pewaukee w stanie Wisconsin, tłumacząc, że nie powinnam jeszcze wychodzić do ludzi.

Na początku posłuchałam jego rady – zaległam na sfatygowanej kanapie z tajskim jedzeniem i oglądałam odcinki seriali, które nagrywałam sobie przez cały tydzień: *Willa i Grace*, *Prezydenckiego pokera*, *Frasiera*, *Przyjaciół*, *Rzykantów* i *Rodziny Soprano*. W ciągu tygodnia od zerwania z Matthew przekonałam się, że telewizja daje ten sam efekt otępienia co alkohol, i to bez wiadomych skutków ubocznych. W końcu odpłynęłam w sen, licząc na to, że wreszcie na własnej skórze przekonam się, że „czas leczy rany”.

Jednak około północy, gdy już przeniosłam się z kanapy na łóżko, czyli na drugi koniec swojej liczącej trzydzieści siedem metrów kwadratowych kawalerki, obudziłam się nagle z dość chaotycznego i zdecydowanie nieprzyzwoitego snu, w którym główne role odgrywali Matthew i Jennifer Aniston, a właściwie Rachel Green zdradzająca Rossa. Gapiąc się na plamę wilgoci na suficie, próbowałam sobie tłumaczyć, że akurat w naszym przypadku to nie byłaby zdrada – zerwaliśmy ze sobą, a nie „zrobiliśmy sobie przerwę” – ale i tak czułam irracjonalny gniew, wyobrażając sobie Matthew z inną kobietą, układającego sobie życie na nowo, jeszcze zanim sama zdążyłam się do tego zabrać. Odwrotny scenariusz, rzecz jasna, również wchodził w grę. Matthew mógł się teraz wpatrywać w swój sufit i usychać z tęsknoty. Może nawet się poddał i do mnie zadzwonił?

Sięgnęłam po leżącą na nocnym stoliku komórkę, żeby sprawdzić, czy nie mam żadnych nowych esemesów albo nieodebranych połączeń. Okazało się, że ani jednego. Wstałam więc, pokuśtykałam do telefonu stacjonarnego i wlepiłam wzrok w to cholerne czerwone światelko na automatycznej sekretarce bezlitośnie przypominające mi o braku wiadomości. Ostatnim krokiem było odpalenie komputera i sprawdzenie konta na AOL oraz Instant Messengerze, czyli portalu, przez który kontaktowaliśmy się z Matthew, siedząc w pracy. Znowu nic. Właśnie wtedy wpadłam w panikę, że do rana nie zasnę, a jeśli nawet mi się to uda, po przebudzeniu będę musiała się zmierzyć z samotnym niedzielnym porankiem. Przede wszystkim jednak przeraziła mnie myśl o tym, że właśnie popełniłam największy błąd w całym swoim życiu. Że Matthew będzie moją Przegapioną Szansą. Kimś, kogo od siebie odepchnęłam tylko dlatego, że nie dawał mi gwarancji wspólnej przyszłości.

Niczym alkoholik ściskający w dłoni butelkę wódki, przebiegłam palcami po klawiaturze, aby przywołać znajome uczucie, i zadałam sobie pytanie, co mi szkodzi napisać krótką wiadomość do Matthew. Postanowiłam jednak tego nie robić. Nie tylko dlatego, że miałam swoją dumę. Po prostu nie chciałam się cofać. Pierwszy tydzień po zerwaniu zawsze jest najtrudniejszy. Teraz mogło być już tylko lepiej. Powinnam wziąć się w garść. I właśnie wtedy w ułamku sekundy podjęłam decyzję o tym, żeby wyjść z domu, zaczerpnąć świeżego powietrza i uciec jak najdalej od tych wszystkich elektronicznych narzędzi autodestrukcji.

Szybciutko umyłam zęby, przeciągnęłam grzebieniem po włosach, zdjęłam podkoszulek i przedpotopowe kraціaste spodnie od piżamy. Przejrzałam zawartość kosza z brudami i wywlekłam z niego rozkloszowaną sukienkę

oraz czarny rozpinany sweter. Oba ciuchy były pogniecione i lekko woniały smażeniną, bo wcześniej jadłam w nich obiad w knajpie przy Lexington Avenue, ale i tak je na siebie włożyłam. Uznałam, że nie warto wkładać niczego ładnego – ani nawet czystego – na nocny spacer. Celowo zostawiłam komórkę w domu, chwyciłam torebkę, włożyłam parę kłapek na platformie od Steve’a Maddena i wyszłam z mieszkania, po czym zamknęłam drzwi kluczami przyczepionymi do nylonowego portfela na rzep z logo Uniwersytetu Wisconsin. Była to pamiątka ze studiów, którą Matthew nazwał kiedyś „uroczą” i „pasującą do mnie”, co uważam teraz za dość wątpliwy komplement. Komentarz przeznaczony dla dziewczyny nie dość dobrej, żeby jej się oświadczyć.

Ruszyłam szarym wąskim korytarzem, mijając po drodze mieszkania sąsiadów, których pewnie nigdy nie poznam, oraz klaustrofobiczną windę, z której korzystam tylko wtedy, gdy dźwigam bardzo ciężkie zakupy, i prawie zawsze wyobrażam sobie, jak się w niej zatraskuję i umieram powolną śmiercią przez uduszenie. Echo moich kroków odbijało się od betonowych ścian klatki schodowej, gdy pokonywałam cztery piętra na dół, aż wreszcie dotarłam do pozbawionego portiera holu, tak paskudnego, że powinnam była wziąć nogi za pas, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Trzy ściany pokrywała psychodeliczna pomarańczowa tapeta, czwartą zaś – przydymione lustro, które nie wyglądało bynajmniej designersko, tylko przynębiająco staromodnie. Kątem oka dostrzegłam w nim swoje odbicie i do głowy przyszło mi określenie „ciocia Klocia”, o co wcale nie tak łatwo w wieku dwudziestu ośmiu lat. Miało to jednak również swoje dobre strony: tak ubrana raczej nie „wpadnę przypadkowo” na Matthew, powiedzmy, na progu jego mieszkania.

Wyszłam z budynku prosto na ziemię niczyją między Gramercy a East Village. Napelniłam płuca ciepłym nocnym powietrzem i od razu zrobiło się trochę lepiej. Prawie odżyłłam nadzieję. Byłam przecież w Nowym Jorku, mieście, które nigdy nie zasypia. Świat stał przede mną otworem, a na dodatek zbliżało się lato. Takie samo uczucie towarzyszyło mi cztery lata wcześniej, tuż po przeprowadzce do Nowego Jorku, zanim jeszcze dopadło mnie zblazowanie. Jak to możliwe, że człowiek staje się zblazowany, mając ledwie dwudziestkę z hakiem?

Ruszyłam na wschód, oddalając się od mieszkania Matthew w Upper West Side, właściwie bez konkretnego celu. Zastanawiałam się, czy nie wstąpić do delikatesów przy Drugiej Alei, tych z najlepszym asortymentem słodczy i czasopism, ale szłam dalej, obok Stuyvesant Square, aż wreszcie skręciłam w Czternastą. Mijając niektóre bloki, miałam ochotę sięgnąć do torebki po gaz pieprzowy, lecz po mieście kręciło się tyle osób, że nie było się czym przejmować. Moi rodzice nie potrafili tego zrozumieć. Mieli własne wyobrażenie o Nowym Jorku, zakorzenione jeszcze w latach siedemdziesiątych minionego wieku, gdy po zmroku miasto zamieniało się w siedlisko przestępców.

Po dotarciu do Alei B nie mogłam nie pomyśleć o *Rent*, którego akcja rozgrywa się właśnie w dzielnicy Alphabet City. Bilety na ten musical są właściwie nie do zdobycia – a do tego absurdalnie drogie – ale Matthew i tak kupił mi je na urodziny. Poczułam ostre ukłucie nostalgii, zapowiedź nadciągającej depresji, zabroniłam sobie jednak zbaczać z kursu, dosłownie i w przenośni. W tym samym momencie zauważyłam na rogu Siódmej i B pub ze szprosami w oknach i czerwonym łukowatym wejściem. Wyglądał obiecująco – a nawet zachęcająco – więc wślizgnęłam się do środka i usiadłam przy barze w kształcie podkowy.

Tak oto dotarłam do chwili, w której gapię się na bezprzewodowy telefon, popijając drugie piwo, i słucham Dido rozwodzącej się nad najlepszym dniem w swoim życiu. Czując, jak ulatują ze mnie resztki silnej woli, sięgam po aparat i zaczynam wybierać numer Matthew. Jestem już przy ostatniej cyfrze, gdy zza pleców dobiega mnie głęboki męski głos.

– Nie rób tego.

Zaskoczona, ogłądam się przez ramię i widzę gościa mniej więcej w moim wieku, może trochę starszego, który patrzy na mnie z góry. Jest wysoki – tak wysoki, że mógłby zawodowo grać w kosza – a na jego mocno zarysowanej szczęce widać cień zarostu.

– Co powiedziałeś? – pytam, sądząc, że się przesłyszałam.

– Żebyś tego nie robiła. Nie dzwoń do niego – odpowiada z kamiennym wyrazem twarzy, chociaż w jego brązowych oczach czai się rozbawienie.

Zbyt zdumiona, by udzielić bardziej jednoznacznej odpowiedzi, pytam:

– Dlaczego myślisz, że dzwonię do niego?

Wzrusza ramionami, siadając na sąsiednim krześle.

– A co? Nie mam racji?

Również wzruszam ramionami, powstrzymując się od uśmiechu, i przyznaję, że owszem, ma.

– O kogo chodzi?

– O mojego byłego.

– No cóż. Nie został nim bez powodu. Krzyżyk na drogę.

Patrzę na niego bez słowa, myśląc, że mógłby być tajnym agentem wynajętym przez Scottiego, żeby mnie szpiegował. Albo moim osobistym aniołem stróżem, takim jak Clarence z filmu *To wspaniałe życie*.

Tymczasem zjawia się barman. Mój nowy znajomy zamawia whisky z colą, omiatając wzrokiem kolekcję butelek pyszniących się za barem.

– A do tego... niech pomyślę... dwa szoty goldschlägera.

– Goldschlägera? – powtarzam ze śmiechem. – Tego się nie spodziewałam.

– Jestem pełen niespodzianek. A ty wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała.

Kręcę głową i odpowiadam, że nie pijam szotów.

– Kłamczucha – kwituje krótko.

Przejrzał mnie na wylot, więc tylko się uśmiecham, kiedy barman bierze butelkę z długą szyjką, odkręca ją, napełnia kieliszki alkoholem po same brzegi, stawia je przed nami i odchodzi. Sięgamy po nie synchronicznie i unosimy je na wysokość oczu.

– Za zmiany na lepsze – mówi on.

– Za zmiany na lepsze – mamroczę pod nosem.

Przed wychyleniem szotów spoglądamy sobie w oczy. Potrzebuję drugiego łyku, żeby skończyć swój. Alkohol pali mnie w gardło, ale zachowuję stoicki spokój, bez skrzywienia obywając się bez popitki.

– Lepiej ci? – pyta.

Odpowiadam, że o dziwo, tak.

– A tobie? – Rewanżuję się.

– Też.

Brzmi to jak naturalny wstęp do jego historii o tym, kogo kocha albo przestał kochać, lub przynajmniej klasycznej barowej pogawędki z nowo poznaną osobą. „Jak masz na imię?” „Skąd pochodzisz?” „Gdzie chodziłeś do szkoły?” „Czym się zajmujesz?” Ale nie zadaję mu żadnego z tych pytań. W ogóle nic nie mówię. Zamiast tego rozkoszuję się jego milczącym towarzystwem, wrażeniem niebycia samotną, graniczącą z cudem nieobecnością

smutku i przygnębienia. On musi się czuć podobnie, ponieważ przez kolejne półtorej godziny siedzimy nad drinkami i zadziwiająco mało mówimy, a mimo to żadne z nas nie zbiera się do wyjścia.

W końcu przychodzi pora składania ostatnich zamówień. Proponuję po szocie goldschlägera na odchodne, a mój znajomy stwierdza, że to dobry pomysł. Tym razem darujemy sobie toast, ale powtarzam w myślach ten sam co poprzednio: za zmiany na lepsze. Zdecydowanie na tym mi zależy.

Kiedy przychodzi do płacenia rachunku, mój towarzysz wyciąga portfel z tylnej kieszeni džinsów dokładnie w tym samym momencie, w którym sama sięgam po torebkę. Kręci głową i mówi, że zapłaci. Już chcę protestować, ale w końcu tylko mu dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada. – To ja dziękuję.

– Za co? – Dziwię się.

– No wiesz – mówi, wyciągając z portfela kilka banknotów i kładąc je na barze.

Kiwam głową, bo chyba rzeczywiście wiem.

Przylapuje mnie na tym, że się na niego gapię, i po raz pierwszy tego wieczoru wygląda na skąpowanego.

– No co? – pyta, przeczesując palcami włosy.

– Nic – odpowiadam.

– O czymś jednak myślałaś. – Chowa portfel z powrotem do kieszeni i podciąga rękawy bluzy.

– Myślałam o tym, że wciąż nie wiem, jak masz na imię.

– Chciałabyś wiedzieć, co? – Śmieje się, opierając przedramiona na ladzie baru.

Kręcę głową z udawaną powagą.

– Wcale nie. Po prostu stwierdzam fakt. Zupełnie mnie to nie interesuje.

– To dobrze, bo ja też nie chcę wiedzieć, jak masz na imię.

– No i super. – Zsuwam się z krzesła i dostrzegam na podłodze swój sweter. Podnoszę go, wkładam i powoli zapinam guziki. Tym razem to ja czuję się skępowana, ale nie daję tego po sobie poznać. Wyciągam do niego rękę. – Jeszcze raz dziękuję – mówię sztywno. – Za drinki i towarzystwo. Dobranoc, jak ci tam na imię.

– Tak. Dobranoc – odpowiada, odwzajemniając uścisk. Dłoń ma silną i ciepłą. – Jak ci tam na imię.

Próbuję się odsunąć, ale on wciąż ściska moją rękę. Przyciąga mnie do siebie, aż w końcu dotykam biodrem jego kolana. Z moim żołądkiem zaczyna się dziać coś dziwnego – coś, czego nie doświadczyłam od bardzo dawna. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że to motyle w brzuchu. Że to on.

Jednak gdy nad barem włącza się światło i milkną dźwięki szafy grającej, a on puszcza moją dłoń, dochodzę do wniosku, że jednak się pomyliłam. Pewnie to tylko goldschläger.

*

Parę minut później, gdy już oboje skorzystaliśmy z toalety, a ja przekonałam się, że wyglądam jak siedem nieszczęść, czym w żadnym wypadku nie powinnam się przejmować, stoimy przed barem. Temperatura trochę spadła, ale powietrze jest tak nieruchome, że nie czuję chłodu. To pewnie również zasługa wlanego w siebie alkoholu. Mój towarzysz oznajmia, że idzie do metra, i pyta, jak zamierzam wrócić do domu. Odpowiadam, że taksówką, na co on stwierdza, że zaczeka na mnie, aż jakąś znajdziemy. Zaczynamy iść. Mijamy kolejne budynki, udając, że nie widzimy przejeżdżających obok nas taksówek. W końcu docieramy na miejsce.

– Tutaj mieszkam – mówię, zwracając się twarzą w jego stronę.

Jest znacznie wyższy ode mnie, więc pokonuję pierwszy stopień, a później jeszcze jeden, patrząc mu w oczy.

– W porządku – odpowiada, opierając się o barierkę. – Tym razem już naprawdę dobranoc.

– Tak. Naprawdę dobranoc – odpowiadam.

Żadne z nas nie odchodzi, aż w końcu, po długiej chwili, on mówi:

– Może jednak chciałbym wiedzieć, jak masz na imię.

– Jesteś pewien? – pytam z pokerową miną. – To dosyć śmiały krok.

– Masz rację. – Podejmuje grę. – Zdecydowanie zbyt odważny. Wygłupiłem się.

Po paru sekundach robię pierwszy krok.

– A może... wszedłbyś na chwilę? – Jestem w szoku, że to powiedziałam. Rzadko robię coś tak spontanicznego czy wręcz głupiego.

Ten facet może być przecież seryjnym mordercą. Podobno Ted Bundy był całkiem przystojny. Mimo to z jakiegoś powodu czuję, że tak trzeba.

Waha się przez moment i już myślę, że odmówi – zresztą tak pewnie byłoby najlepiej. W końcu jednak pyta:

– Zapraszasz mnie do siebie?

– Tak – odpowiadam, postanawiając zaufać jemu i sobie. – To właśnie robię.

– Przyjmuję zaproszenie – mówi z lekkim skinieniem głową.

Odwzajemniam gest, po czym odwracam się i prowadzę go do środka, przez frontowe drzwi i hol, aż do windy, dochodząc do wniosku, że nie miałabym nic przeciwko utknięciu w niej razem z nim. W windzie żadne z nas się nie odzywa. Milczymy również wtedy, gdy otwieram

drzwi i wchodzimy razem do mojego ciemnego mieszkania, mijając po drodze nieruchome czerwone światelko automatycznej sekretarki. Wiem, że powinnam zaprowadzić go do kanapy, zaproponować drinka, wymyślić jakiś temat do rozmowy. Nagle jednak czuję się całkiem padnięta i marzę tylko o tym, żeby się położyć. Razem z nim. Podchodzę więc do łóżka, zdejmuję buty i sweter, po czym odsuwam koldrę. Nie patrzę na niego, ale czuję na sobie jego wzrok.

– Idziemy spać? – pytam. – Zrobiło się strasznie późno.

– Tak – szepcze, a później rozbiera się do bokserek, podkoszulka i kładzie się obok mnie.

Mija kilka minut, zanim nasze ciała i oddechy połączą się ze sobą w ciemności. Z zamkniętymi oczami czekam na to, aż mnie pocałuje, czy w ogóle wykona jakiś ruch. Zrobi jedną z tych rzeczy, którymi zajmują się ludzie idący razem do łóżka. Nic takiego się jednak nie dzieje. Po prostu razem zasypiamy – kładę policzek na jego piersi, a on obejmuje mnie ramieniem – jakbyśmy znali się od zawsze.

ROZDZIAŁ 2

Budzą mnie promienie porannego słońca przeciskające się przez szpary pomiędzy żaluzjami. Potrzebuję kilku sekund, żeby sobie o nim przypomnieć. Wstrzymuję oddech i ostrożnie przekręcam się na drugi bok, zastanawiając się, czy nie uciekł – a nawet po cichu na to licząc, bo wtedy uniknęlibyśmy porannego skrępowania.

Jednak gdy widzę go śpiącego, przykrytego kołdrą po samą szyję, zalewa mnie fala ulgi. W jego twarzy jest coś kojącego. Może to te lekko rozchylone usta albo opadająca na czoło grzywka? Ma ładne włosy – gładkie i lśniące. Zawsze uważałam, że szkoda takich włosów dla faceta. Właśnie się zastanawiam, czy ich nie dotknąć, gdy nagle otwiera oczy. Spogląda na mnie i jego twarz rozjaśnia uśmiech. Ja też się uśmiecham, z nerwów i ekscytacji jednocześnie.

– Dzień dobry – mówi zachrypniętym głosem człowieka, który zaledwie parę godzin wcześniej pił w barze alkohol. Podnosi rękę i przeczesuje sobie włosy, jakby chciał je przygładzić, ale skutek jest całkowicie odwrotny.

– Dzień dobry – odpowiadam z bijącym sercem. Czekam, co jeszcze powie, a gdy się nie odzywa, dodaję: – No więc nadal nie znam twojego imienia.

– Chwileczkę. Tym razem pytasz mnie na poważnie czy to kolejna ściema?

Zapewniam go z uśmiechem, że jestem już gotowa.

Odkasłuje, przełyka ślinę, przybiera poważną minę. Celowo buduje napięcie.

– Grant – mówi wreszcie.

Powtarzam w głowie tę pojedynczą sylabę, myśląc o tym, jak świetnie pasuje do niego to imię. Klasyczne, ale nie oklepane. Proste i męskie. A do tego budzące pozytywne skojarzenia. Można dostać grant i dzięki niemu spełnić swoje marzenie.

– Grant i co dalej? – pytam.

– Grant Smith.

– Podoba mi się.

Leżymy nieruchomo jak posągi, dokładnie w takiej samej pozycji. Na tyle blisko, że moglibyśmy się dotknąć, gdyby tylko któreś z nas wyciągnęło rękę. Żadne z nas tego nie robi.

– Okej. Pozwól, że odgadnę twoje imię – mówi Grant, przygryzając wargę w wyrazie udawanej koncentracji. – Założę się, że to jedno z tych bardzo kobiecych imion zakończonych na „i” albo „a”. Może... Sophia, Emily albo Alyssa?

– No tak! Masz rację. Trzy sylaby. Kończy się na „i”.

– Czyli jak? – Niecierpliwi się. – Powiedz.

– Cecily. – Sama nie wiem, dlaczego czuję się tak, jakbym zdradzała mu swój najintymniejszy sekret.

Pod koldrą jego ręka odnajduje moją.

– Cecily – powtarza. – I pomyśleć, że się bałem.

– Czego? – pytam.

Nasze palce splatają się ze sobą, serce zaczyna mi bić coraz szybciej.

– Że twoje imię może mi się nie spodobać.

- Dlaczego miałbyś się tym przejmować?
- Ponieważ – zaczyna – mam przecucie, że będę je powtarzał... bardzo często.
- Naprawdę? – Czuję, że płoną mi policzki.
- Tak, Cecily – szepcze. – Naprawdę.

*

Niespełna godzinę później siedzimy w słonecznej i gwarnej knajpce przy Drugiej Alei. Na stoliku między nami leży egzemplarz „New York Timesa” kupiony przez Granta, stoją też dwa kubki świeżo nalanej kawy. Czekamy na zamówione przez nas omlety – po grecku dla niego i z cheddarem dla mnie.

Przyglądam mu się przez kłęby pary unoszące się z kubków i rozmyślam o tym, z jaką łatwością przenieśliśmy się z łóżka do tego stołu, nie doświadczając przy tym nawet jednego momentu skrępowania. Ani wtedy, gdy oboje wstaliśmy i na zmianę skorzystaliśmy z łazienki. Ani też wtedy, gdy powiedziałam, że nie mam dla niego nowej szczoteczki, ale może skorzystać z mojej (tak zrobił). Ani nawet wtedy, gdy Scottie zadzwonił do mnie, gdy już prawie wychodził, a ja popełniłam ten błąd, że odebrałam, i zostałam zasypana pytaniami, na które odpowiadałam krótko: „tak” albo „nie”. Poinformowałam go, że nie jestem sama ani nie jestem z Matthew, ale tak, ten ktoś jest przystojny.

- Opowiedz mi coś o sobie – proszę Granta. Mam wrażenie, że świetnie go znam, chociaż w gruncie rzeczy nic o nim nie wiem.

Kiwa głową, wlewa śmietankę do kawy i miesza ją łyżeczką.

- Co chcesz wiedzieć?
- Cokolwiek – mówię. – Wszystko.

Krzyżuje przedramiona, kładzie łokcie na stole i nachyla się w moją stronę.

– Nikt nie chce wiedzieć wszystkiego o drugiej osobie, prawda?

Nie wiem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Słuszna uwaga. W takim razie zdradź mi podstawowe informacje.

– Czyli jakie?

– No wiesz... Ile masz lat? Skąd pochodzisz? Czy masz rodzeństwo? Tego rodzaju rzeczy.

Ponownie kiwa głową, upija łyk kawy i mówi, że ma trzydzieści lat, pochodzi z Buffalo i ma brata bliźniaka.

– O, jak fajnie. Jesteście jedno- czy dwujajowi?

– Dwu. Ale jesteśmy do siebie bardzo podobni. A przy najmniej wszyscy tak twierdzą.

– Który z was jest starszy?

– On. O cztery minuty.

Pytam, gdzie studiował, zanim przychodzi mi do głowy, że przecież wcale nie musi być po studiach.

– Stanford – odpowiada Grant.

– No nieźle – mówię, unosząc brwi.

– Miałem stypendium koszykarskie. To nic takiego – stwierdza z uśmiechem. – A ty? Odpowiesz na te same pytania?

– Pochodzę z małego miasteczka niedaleko Milwaukee. Skończyłam studia na Uniwersytecie Wisconsin. Mam starszą siostrę i młodszego brata.

Grant kiwa głową i upija łyk kawy.

– A więc średnie dziecko.

– Niestety tak – potwierdzam z uśmiechem.

– Jesteś bardzo związana ze swoją rodziną?

– Tak, bardzo. Brakuje mi ich. Czasami się zastanawiam, co ja tu w ogóle robię.

- I...? Co tu robisz?
- Przyjechałam szukać pracy.
- A czym się zajmujesz?

Nie wiem, czy powinnam się tytułować pisarką, dziennikarką czy reporterką. „Pisarka” brzmi zbyt ogólnie, „dziennikarka” – zbyt zarozumiale, a „reporterka” nie oddaje w pełni tego, co robię. Duma nie pozwala mi dokładnie opisać tego, czym obecnie się zajmuję. Poprzestaję więc na wyjaśnieniu, że pracuję w redakcji „The Mercury”.

- Trzeba było powiedzieć wcześniej – mówi Grant, zerka-
jąc na egzemplarz „Timesa”. – Zanim wsparłem konkurencję.

- No tak. Jesteśmy zażartymi rywalami. Idziemy z „Ti-
mesem” łeb w łeb. – Śmieję się.

- Hej. Naprawdę lubię „The Mercury”.

- Pełnego informacji nienadających się do druku? –
cytuję żartobliwy slogan, który swego czasu wymyśliliśmy
w redakcji.

- Od czegoś trzeba zacząć, prawda? – stwierdza ze śmie-
chem Grant.

W odpowiedzi tylko wzruszam ramionami, bo sama
powtarzam to sobie od dłuższego czasu, a jakoś nie pnę
się po szczeblach kariery.

- A ty? – pytam. – Czym się zajmujesz?

Odpowiada, że jest handlarzem, i przez chwilę wyob-
rażam sobie północnoamerykańskich handlarzy futrami
z podręczników historii dla gimnazjalistów. Później dociera
do mnie, że pewnie miał na myśli Wall Street.

- Handlujesz akcjami?

- Tak. Lokalnych firm z dużym kapitałem. – Wzdycha,
a jego twarz przybiera zupełnie nowy, posępny wyraz. – Ale
mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

- A co chciałbyś robić?

- Nie wiem. Wciąż się nad tym zastanawiam. Właściwie to zastanawiam się nad wieloma sprawami.
- Jakimi na przykład? – rzucam możliwie lekkim tonem.
- No wiesz... Co tak naprawdę chciałbym zrobić ze swoim życiem. Gdzie zamieszkać. Pewnie powinienem już dawno to wiedzieć, ale... – Zawiesza głos i marszczy czoło.
- A gdzie teraz mieszkasz? – pytam, chociaż nie musiało mu przecież chodzić o dzielnicę, tylko ogólnie o miasto. Grant wyjaśnia, że właśnie szuka mieszkania.
- Mieszkalem na Brooklynie, ale chwilowo waletuję na kanapie u brata... w Hoboken.
- Aaaa, już rozumiem. Czyli moje łóżko jest lepsze niż jego kanapa. Wszystko jasne.
- Grant się śmieje i unosi rękę w obronnym geście.
- Przejrzałeś mnie. Wykorzystałem cię, żeby się wyspać. Kiedy zobaczyłem cię wczoraj w barze, pomyślałem: „Ta dziewczyna musi mieć świetny materac. Sprężysty, ale niezbyt twardy”.
- W porządku. – Uśmiecham się. – Możesz z niego korzystać do woli.

*

Po śniadaniu siedzimy jeszcze trochę nad kawą i gazetą. Czytamy artykuły, wymieniamy się dodatkami, w rekordowym czasie rozwiązujemy krzyżówkę. Rozmawiamy o wszystkim, poczynawszy od rozrywki i sportu, a na polityce i literaturze skończywszy. Grant uwielbia książki tak samo jak ja i ożywia się, opowiadając o swoich ulubionych. Wymienia kilku autorów, za którymi przepada wielu face-tów: Irvinga, Updike’a, Kerouaca, Salingera. Później jednak totalnie mnie zaskakuje, wspominając o *Annie Kareninie*.

– Mówisz poważnie? – Upewniam się, bo to również jedna z moich ulubionych książek, na dodatek niezwykle romantyczna. – Czy ściemniasz?

– Ja miałbym ściemniać? To posłuchaj tego. – Odchrząkuje i nachyla się w moją stronę. – „Zawsze cię kochałam, a gdy się kogoś kocha, to kocha się całego człowieka, takiego, jaki jest, a nie takiego, jakim by się go mieć chciało”^{*}.

Dostaję gęsiej skórki i czuję, że się rozplywam.

– Cytowanie Tolstoja może być częścią ściemy – zauważam z udawanym spokojem.

– Tak – przyznaje mi rację, szczerząc zęby w uśmiechu. – I pomyśleć, że zwykle cytuję go, z nim wskoczę dziewczynie do łóżka.

*

Kiedy wreszcie wychodzimy z knajpki, Grant pyta, czy wybiorę się z nim na spacer. Chętnie się zgadzam. Kierujemy się na zachód, okrążamy żelazne ogrodzenie Gramercy Park, po czym schodzimy Flatiron District na Union Square. Gdy już tam jesteśmy, kręcimy się po księgarni Barnes & Noble, przeglądamy nowości, a później wracamy na plac, gdzie siadamy na ławce i przez długi czas obserwujemy mijających nas ludzi i psy. Widzę, że oboje staramy się odwlec moment pożegnania i jednocześnie kontemplujemy tę chwilę. Przynajmniej ja tak to odczuwam.

W końcu jednak musimy się rozstać. Wstajemy z ławki i idziemy na zachód w kierunku stacji metra PATH przy Czternastej. Po dotarciu na miejsce Grant odwraca się i patrzy na mnie z poważną miną.

^{*} Fragment *Anny Kareniny* Lwa Tolstoja w przekładzie Kazimierzy Illakowiczówny, Kraków: Znak, s. 680 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– No to – zaczyna, z ręką opartą o metalową barierkę wzdłuż schodów prowadzących na dół – zobaczmy się jeszcze?

Zerkam na niemożliwe do odczytania graffiti na ścianie za jego plecami, a później zaglądam mu w oczy.

– A chcesz się ze mną jeszcze zobaczyć?

– Tak – odpowiada. – Bardzo.

– To dobrze. – Sięgam do torebki, oddzieram kawałek jakiejś ulotki, znajduję długopis, zapisuję swój numer do-mowy i komórkę.

– Proszę.

Grant bierze ode mnie skrawek papieru, składa go na pół i chowa do tylnej kieszeni.

– Dziękuję – mówię. – Dobrze się bawiłam.

– Dobrze się bawiłaś? Daj spokój, Cecily, jesteś mistrzynią w rozwiązywaniu krzyżówek. Na pewno stać cię na więcej!

Znowu się uśmiecham i mówię, że to, co wspólnie przeżyliśmy, było czymś absolutnie bezprecedensowym.

– W jakim znaczeniu? – dopytuje, patrząc mi głęboko w oczy.

– No cóż... – odpowiadam, lekko oszołomiona. – Nigdy wcześniej nie byłam taka spontaniczna. Nigdy nie poszłam do łóżka z kimś zupełnie obcym. Z nikim tak błyskawicznie nie nawiązałam więzi.

– Już lepiej – stwierdza Grant. – I mógłbym powiedzieć to samo. A przynajmniej ostatnie zdanie.

Uśmiecham się.

– Ach, czyli tobie zdarzało się sypiać z obcymi kobietami?

– Owszem. Ale z nimi było inaczej niż z tobą. – Robi dziwną minę, a później dodaje: – Naprawdę mi się podo-bało.

- Mnie też.
- Ty mi się podobasz, Cecily.
- Ty też mi się podobasz... Grant.

Patrzy na mnie przez ułamek sekundy, obejmuje mnie szybko, a później bezceremonialnie odwraca się i znika w czeluściach stacji metra.

*

Gdy tylko docieram do domu, od razu dzwonię do Scottiego.

- Czekam na pikantne szczegóły, ty zdiro! - wrzeszczy do słuchawki.

- Nie jestem żadną zdiżą - odpowiadam ze śmiechem. - Do niczego nie doszło. A przynajmniej nie do tego, o czym myślisz.

- Koleś spędził u ciebie noc i do niczego nie doszło? - Dziwi się Scottie.

- Przysięgam, że tak było. - Podchodzę do sofy i opadam na nią ciężko. - Nawet się nie całowaliśmy.

- Mówiłaś, że jest przystojny.

- Bo to prawda. Nawet więcej... jest śliczny. Wysoki, ciemnowłosy, atrakcyjny w każdym calu. Właściwie bardzo w twoim typie - dodaję, myśląc o tym, że sama zwykle zakochuję się w błękitnookich blondynach w typie Matthew.

- Kto mógłby być jego sobowtórem w świecie celebrytów?

To jedno z ulubionych pytań Scottiego.

- Hm... niech pomyślę. Może Goran Višnjić.

- Kto?!

- No wiesz... ten seksowny lekarz z *Ostrego dyżuru*.

- O cholera. - Scottie gwiżdże przeciągle. - Masz na myśli doktora Lukę Kovača?

– We własnej osobie. Obaj mają w sobie coś mrocznego.
– W takim razie dłaczego, u diabła, się z nim nie przespałaś? – pyta z niedowierzaniem Scottie.

– Bo nie o to chodziło – wyjaśniam, szukając słów na opisanie tej niezwyklej więzi, która się między nami zrodziła, ale tak, by nie zabrzmiało to ckliwie. – To było... sama nie wiem... coś głębszego.

– Głębszego?

– Tak. A zarazem... prostego i uroczego. Trudno to wyjaśnić. W barze w zasadzie się do siebie nie odzywaliśmy. Po prostu razem siedzieliśmy. Było naprawdę miło. Ale w ekscytujący sposób. A później odprowadził mnie do domu... i poszliśmy spać. Jakbyśmy robili to od wieków.

– Chcesz powiedzieć, że cię nie pociąga?

– Pociąga, i to bardzo.

– Mówimy o motylkach w brzuchu, fajerwerkach i całej reszcie?

– Tak. O całym pakiecie – odpowiadam. Zaczynam czuć to wszystko na samą myśl o Grancie.

– Bardziej niż na początku twojego związku z Matthew?

– Wtedy było zupełnie inaczej. No, może nie zupełnie. Wiem, że na początku również bardzo mi się podobał. – Próbuję mu to wytłumaczyć, przypominając sobie wieczór, gdy poznaliśmy się z Matthew.

Byliśmy wtedy na przyjęciu na dachu apartamentowca urządzonym przez jakiegoś dzieciaka z funduszem powierniczym, który pracował w tej samej gazecie co ja i chodził do szkoły średniej razem z Matthew. Mieliśmy więc wspólnych znajomych – oraz kontekst – podczas gdy zeszły wieczór był pozbawiony wszelkich ram i odniesień. My po prostu... trwaliśmy przy sobie. Wyrzucam z siebie to wszystko, kończąc słowami:

– Szczerze mówiąc, jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Okej. Będę musiał przeświecić tego twojego faceta – kwituje moje słowa Scottie. – Podaj mi pełne imię i nazwisko.

– Grant Smith – odpowiadam, zerkając na nieposłane łóżko i przypominając sobie moment, w którym mi się przedstawił.

– No nie, Smith? Będzie ciężko. Jaki ma numer? Może uda mi się znaleźć...

– Ekhm, no cóż. Nie dał mi swojego numeru – odpowiadam niepewnie.

I rzeczywiście, ta wiadomość leciutko wytrąca Scottiego z równowagi.

– Czekaj, co takiego? Czy niczego cię nie nauczyłem?

– On ma mój numer...

– Ale to ty powinnaś wziąć numer od niego. A później kazać mu czekać, pamiętasz?

– Tak, tak. Wiem. Ale znudziły mi się już te gierki – odpowiadam, wspominając te niekończące się podchody z Matthew zakończone moim milczącym ultimatum, również wymyślonym przez Scottiego.

– W porządku. A co, jeśli jemu się nie znudziły? Nie sądzisz, że to troszeczkę podejrzanе, że nie dał ci swojego numeru? Po tym, jak spędziliście razem noc?

– W jakim sensie podejrzanе? – pytam.

– Jakby z tobą pogrywał.

– On w nic nie gra, Scottie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo nie próbował mnie nawet pocałować.

– To się nazywa gra na zwłokę.

– Nie – odpowiadam ze śmiechem. – To nie jest żadna gra.

– Niech ci będzie – Scottie daje za wygraną. – Chociaż nadal uważam, że to trochę dziwne. Czekaj! A może on jest gejem?

– Nie jest. – Postanawiam zdusić jego teorię, że „orientacja seksualna to spektrum”, w zarodku.

– I na pewno mu się podobasz? – Jako mój najlepszy przyjaciel ma prawo o to zapytać.

– Tak. – Wyraźnie pamiętam jego głos, dotyk i sposób, w jaki na mnie patrzył. – Jestem tego cholernie pewna.

– Cóż, dobre i to.

– Aha. – Powoli to wszystko zaczyna do mnie docierać.

– Czy to znaczy, że odpuściłaś sobie Matthew?

Wzdycham przeciągle, bo prawdę powiedziawszy, zastanawiałam się nad tym, odkąd rozstaliśmy się z Grantem na stacji.

– Sama nie wiem... Może. Uważasz, że jestem płytka? – Czuję się dziwnie zaniepokojona i zarazem wyzwolona.

– Może trochę – przyznaje Scottie. – Ale kogo to obchodzi?

– Mnie. Nie chcę być jedną z tych dziewczyn.

– Jakich?

– Takich, które skaczą z kwiatka na kwiatek, ponieważ nie potrafią być same.

– Hej. Istnieją gorsze rzeczy niż numerki na pocieszenie z doktorem Luką Kovačem.

– Może i tak – odpowiadam ze śmiechem.

– A gdy już uwolnisz się od tego wszystkiego, możesz wrócić do Wisconsin.

– Albo ty możesz się przeprowadzić do Nowego Jorku. – Mam na końcu języka, że już najwyższy czas, by powiedział rodzicom o swojej orientacji. Ostatecznie jednak nic nie mówię, bo po pierwsze Scottie już to wie i wystarczająco się tym gryzie, a po drugie należy do osób, które wolą udzielać rad, niż je przyjmować.

– Nie ma mowy – odpowiada. – Za bardzo lubię drzewa i świeże powietrze.

Przewracam oczami, ponieważ wiem, że to nieprawda – wyjście na dwór oznacza dla Scottiego siedzenie na pomoście i moczenie nóg w wodzie, za to ja naprawdę lubię biwaki, piesze wędrówki i pływanie. To raczej on powinien żyć w mieście, a ja siedzieć w leśnej głuszy i pisać.

– Odwiedź mnie niedługo – proszę. – Stęskniłam się za tobą.

– Ja za tobą bardziej.

*

Wieczorem nie mogę zasnąć. Jestem w wyjątkowo refleksyjnym nastroju, nawet jak na niedzielną noc. Myślę o Matthew i Grancie, co oczywiste, lecz także o swojej przyjaźni ze Scottiem sięgającej czasów podstawówki. Myślę o tym, jak przesiadywaliśmy w moim pokoju, słuchaliśmy naszych ulubionych płyt i przeglądaliśmy młodzieżowe czasopisma „Tiger Beat” i „Teen Beat”. To było, jeszcze zanim się dowiedziałam, że Scottie jest gejem – zanim on sam to odkrył – chociaż jego obsesja na punkcie Andrew McCarthy’ego powinna wzbudzić moją czujność (do gro-na jego ulubionych filmów należały *Ognie świętego Elma* i *Dziewczyna w różowej sukience*).

Myślę o tym, wraz z dorastaniem wspólnie spędzany czas przestaliśmy nazywać „zabawą”, a zaczęliśmy – „przesiadywaniem”. Mniej więcej w tym samym czasie nasi rodzice doszli do wniosku, że „nie wypada”, abyśmy przebywali ze sobą sam na sam. Wszyscy czworo byli pewni, że między nami musi do czegoś dojść.

Technicznie rzecz biorąc, mieli rację. Wiosną w ósmej klasie „chodziliśmy ze sobą” przez krótki czas i nawet zaliczyliśmy krępujący półsekundowy pocałunek, o którym nikt poza naszą dwójką nie ma pojęcia. Kiedy poszliśmy do

szkoły średniej, przestaliśmy się ograniczać do naszej relacji i dołączyliśmy do paczki złożonej z dzieciaków z dobrych domów, nerdów i punków. Mieliśmy dobre stopnie, ale nie byliśmy nadmiernie ambitni ani zaangażowani – nie licząc mojego udziału w tworzeniu szkolnej gazetki.

W college’u znaleźliśmy sobie podobną niszę. Oboje studiowaliśmy na Uniwersytecie Wisconsin i byliśmy nierozłączni. Wszyscy – także chłopcy, z którymi akurat się umawiałam – wiedzieli, że gdzie ja, tam i Scottie. Na studiach miałam tylko jednego chłopaka o niefortunnym imieniu i nazwisku „Bart Simpson”, który był absurdalnie zazdrosny o Scottiego. Wtedy już wiedziałam, że Scottie jest gejem, lecz nikt poza mną nie miał o tym pojęcia i z całą pewnością nie zamierzałam się dzielić tym sekretem z Bartem, żeby ukoić jego wrażliwe męskie ego. Poza tym orientacja Scottiego nie miała tu nic do rzeczy. Gej, hetero czy bi, Scottie był moim najlepszym przyjacielem, koniec kropka.

Nawet po mojej przeprowadzce do Nowego Jorku (który to dzień okazał się najtrudniejszym w historii naszej przyjaźni – zachowywaliśmy się tak, jakby jedno z nas właśnie dowiedziało się o śmiertelnej chorobie) rozmawialiśmy po kilka razy dziennie, czy to za pośrednictwem telefonu, maila, czy Instant Messengera. Kiedy pomiędzy mną i Matthew zaczęło się robić poważnie, nasze kontakty ze Scottiem nieco się rozluźniły, ale i tak zachował najwyższe miejsce w hierarchii. Jeśli zdarzyło się coś złego, dzwoniłam do Scottiego. Gdy spotkało mnie coś dobrego, dzwoniłam do Scottiego. Co ważniejsze, przez cały swój związek z Matthew, od pierwszych dni, przez cudowny środek, aż po rozpaczliwie przykry koniec, nigdy nie przestałam konsultować się ze Scottiem, analizować i obmyślać strategii swojego związku. Mówiłam mu o wszystkim – każdym zdarzeniu i doświadczonej emocji – szczerze i bez ogródek.

Uważałam to za coś całkowicie normalnego i zdrowego – najlepsi przyjaciele po prostu tak robią. Pamiętam jednak, gdy moja siostra, która ma naprawdę idealne małżeństwo, wspomniała kiedyś o łączącej nas „pępowinie”, sugerując, że może już czas ją przeciąć. Zrobiło mi się wtedy przykro, ale też troszeczkę jej współczułam, bo Jenna zawsze należała do dziewczyn stawiających chłopaka na pierwszym miejscu, przed swoimi przyjaciółmi. W rezultacie nigdy nie doświadczyła tak bliskiej przyjaźni, jaka łączyła mnie ze Scottiem.

Ale teraz, gdy leżę bezsennie w łóżku, po raz pierwszy w życiu przychodzi mi do głowy, że może dynamika mojej relacji ze Scottiem powinna mnie uczulić na to, że Matthew nie zapewniał mi wszystkiego, czego potrzebowałam. Pod wieloma względami był cudownym facetem i naprawdę go kochałam – a może nawet wciąż kocham. Możliwe jednak, że bardziej zależało mi na wygodzie i bezpieczeństwie posiadania „tego jedyne” niż na samym Matthew. I może – tylko może – istnieje coś głębszego.

Nie mam pojęcia, co by to mogło być, ale zasypiam, myśląc o Grancie.